



<http://rain.org.pl>

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 173.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1884.

Tom pierwszy.

WARSZAWA.
W DRUKARNI JÓZEFA BERGERA,
ulica Elektoralna. Nr. 14.

1884.



Доволено Цензурою.

Варшава, 23 Декабря 1883 года.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

<http://rcin.org.pl>

OKRES „CHMURNY” W ŻYCIU ADAMA MICKIEWICZA.

NAPISAŁ

D-r Teofil Ziemba.

„Połały się lzy me czyste—rzęsiste
Na moję młodość górną i—chmurną.”
Ad. Mickiewicz.

I.

Pięknie rozwijał się uniwersytet wileński pod światłą opieką swojego kuratora, księcia Adama Czartoryskiego, pod kierunkiem znanych z nauki i charakteru profesorów, którzy według wyrażenia Mickiewicza umieli:

„Poprawiać serca—objasniać rozumy.“

Już więc z tych samych powodów, zarówno jak i pod wpływem szerzącego się coraz bardziej ducha filareckiego, przybierała młodzież wileńska coraz wyraźniejszy charakter jakiejś jednolitej, skupionej w sobie i widocznie ku poważnym celom dążącej falangi. Celem takim była przedewszystkiem nauka, to też w uderzający sposób wzrastała liczba garnących się do studiów uniwersyteckich, tak, że w r. 1823 było ich już prawie trzy razy tyle, jak w r. 1803 ¹⁾).

Zamiłowanie do nauk stawało się zatem coraz powszechniejsze i wnikało w szerokie koła tamtejszego obywatelstwa, tak, iż synowie zamożnych rodzin litewskich poświęcali się z zapałem naukom. Dostyc powiedzieć, że nawet przedmiot tak ścisły jak matematyka, miał

¹⁾ „Dziennik wileński z r. 1823.“ Mowa rektora Twardowskiego. Tudzież Lelewel w „Listach,” tom I. str. 379, mówi o blisko 900 uczniach uniwersytetu, gdy według dat urzędowych było ich w r. 1803 tylko 286!..

pośród nich niepospolitych miłośników. Gdy bowiem w uniwersytecie po Zacharyaszu Niemczewskim opróżnioną została katedra matematyki, nie potrzeba już było, jak dawniej, szukać jego następcy gdzieś daleko za granicami Litwy. Kandydat gotowy i zupełnie odpowiadający wszystkim warunkom, znalazł się w osobie podkomorzego i marszałka pińskiego Józefa Twardowskiego, jednego z owych dawniejszych uczniów uniwersytetu wileńskiego, którzy jeszcze w r. 1805 wraz z Lelewalem i Borowskim, należeli do towarzystwa filomatycznego.

Gdy zaś dotychczasowy rektor Szymon Malewski złożył w kwietniu 1822 r. urządowanie swoje na ręce samego księcia kuratora, było już wówczas prawie rzeczą niewątpliwą, że miejsce po nim zajmie wspomniany Twardowski, tembardziej, że i sam książę kurator życzył sobie tego i większość profesorów (szczególnie młodszych) była po jego stronie. Jakoż zapewne nietylko Lelewele cieszył się wówczas nadzieją, że „jeszcze odmłodnieje długo zgrzybiały uniwersytet“ (Listy. I. 357), gdy niestety nieprzewidziane wypadki stanęły temu na przeszkodzie a nawet zamiast odmłodnienia uniwersytetu, zadały mu raczej cios bolesny, zanim w końcu zupełną jego sprowadziły ruinę.

Już z chwilą powtórnego przybycia Lelewela do Wilna rozpoczęło się właściwie nowe w uniwersytecie życie, którego zbyt wymownym objawem było przyjęcie, jakiego doznał znakomity historyk zaraz na pierwszej swojej lekcji. Od owego czasu stał się Lelewele prawie bożyszczem młodzieży wileńskiej, z którego też powodu jeszcze w marcu r. 1822 pisał do swego ojca (Listy. I. 354). „Że o Wilnie plotek nie brak, a z niemi i o mnie, nic dziwnego; audytoryum zawsze liczne, brzęczą już lutnie pochwałami, a ja słucham rady Matki Dobrodziejki i bawełnę w uszy kładę. Nie mam na co narzekać teraz, ale lepiej było, kiedy mogłem bez hałasu i bez wystawy pracować...“ Liczba uczniów, pragnących słuchać jego wykładów była tak znaczną, że żadna z sal uniwersyteckich nie mogła ich pomieścić. W najobszerniejszej nawet „było mu gorąco“ bo jak sam pisze, przynajmniej po 300 bywało na jego lekcjach.

Wszakże nietylko młodzież uniwersytecka zapełniała te sale. Według wyrażenia bowiem samego Lelewela „bieliły się tam głowy między młodzieżą, a jak „siwy p. Kopaciński“ stał się stałym jego słuchaczem, tak i inni znani i powszechnie poważani obywatele „zajeżdżali pojazdami lub przychodzili spacerem“ na jego lekcye. Wkrótce nawet kobiety, jak księżna Czetwertyńska, hr. Potocka, p. Zaleska i wiele innych, zaczęły odwiedzać jego „brudną salę“ (Listy Lelewela t. t.).

Sądzymy jednak, że nie tyle rozgłos wykładów Lelewela i liczba ich słuchaczy budzić mogły w pewnych sferach niepokój, ile raczej mniemanie o republikańskich tendencyach młodego profesora. Wyróżnił się w tym czasie zachowanie się przeciw i w „Dziadach“ gdzie (w scenie VIII części III), być może, że nie dosyć sprawiedliwie, włożył poeta następujące słowa w usta „doktora:”

I owszem, uczyć dziejów: niech się młodzież dowie
 Co robili królowie, wielcy ministrowie...
 Lecz po co zawsze prawić o republikanach,
 Zawsze o Ateńczykach, Spartanach, Rzymianach?...

Wszystkie te okoliczności razem zebrane stały się powodem, że według własnych słów Lelewela „kurs historii stał się napiętym przedmiotem,” który przy pierwszej nadarzonej sposobności zaszkodzić mógł tak pięknie rozwijającemu się uniwersytetowi... Jednak w ciągu roku 1822 nie tylko nie nadarzyła się jeszcze stosowna do tego sposobność, lecz owszem objęcie rektorstwa przez Twardowskiego i nadzieja pozyskania nowej i to niepospolitej siły naukowej w Józefie Gołuchowskim, zdawały się wróżyć jeszcze świetniejszą uniwersytetowi przyszłość.

II.

Tymczasem już od wiosny 1823 roku zaczynały się gromadzić chmury na pogodnym dotąd widnokręgu wileńskim... Dwa napozór małej wagi wypadki, jak znana z listu Domejki scena na Antokolu ¹⁾, a potem ów maj o wy napis na tablicy szkolnej, wynikający z nierozwagi ucznia klasy piątej gimnazjalnej, zaniepokoiły wielce ludzi dojrzałych, przewidujących niepomysłne ztąd dla kraju następstwa...

Wiadomość o tych niepokieszających zajściach doszła wkrótce i do Kowna, gdzie Mickiewicz pełnił spokojnie swe obowiązki nauczycielskie. Było to właśnie w pierwszej połowie maja 1823 r., kiedy ku wielkiej jego radości bawił u niego w odwiedzinach serdeczny jego przyjaciel Odyniec. Trzebaż więc było, aby te dni wesołe zasępiły się z powodu rozchodzących się z Wilna wieści... Ubolewał też wielce nad tem poeta, chociaż może wówczas jeszcze sam nie przeczuwał, że zdarzenia te miały w dalszym toku i na jego przyszłość wywrzeć wpływ tak stanowczy. Po upływie kilku tygodni nastąpiły upragnione wakacje, a tym razem nawet dłuższe dla Mickiewicza, gdyż z powodu osłabionego zdrowia otrzymał niedawno czasowe od służby nauczycielskiej uwolnienie. Wyjechawszy więc wkrótce do Wilna, już sobie wyjazd za granicę układał i środki na to obmyślał, gdy niestety, niedługo potem, bo 23 Października 1823 r. wypadło mu wraz z wielu innymi Filaretami zamieszkać w wileńskim klasztorze Bazyliańów...

Nie możemy wdawać się na tem miejscu w szeroki opis tego okresu życia poety, który zresztą zkądną dobrze znanym być może czytelnikom. Pominąwszy bowiem książeczkę Lelewela, która się odnosi do tych czasów, zarówno jak i piękny list Domejki, wiadomo przecież że i trzecia część „Dziadów” jest według słów samego autora „sumiennym” owych wypadków opisem. Mickiewicz, który w tym dramacie tak ważną odegrał rolę, nie przesadził zapewne, gdy w prze-

¹⁾ Rodzaj plantacyi lub bulwaru wileńskiego.

mowie do swego poematu tak się o tój sprawie wyraził: „Wszyscy pisarze... zgadzają się na to, że w sprawie uczniów wileńskich było coś mistycznego. Charakter mistyczny, łagodny, ale nie zachwiany Tomasz Zana, naczelnika młodzieży, religijna rezygnacya, braterska zgoda i miłość... zostawiły głębokie wrażenie na umyśle tych, którzy byli świadkami lub uczestnikami zdarzeń...”

Nie dziw tedy, że pod wpływem takich wypadków i skutkiem owęj „rezygnacji religijnej,” odbyło się w jego życiu wewnętrzném niezmiernie ważne przeobrażenie. Sam zresztą poeta wyraził to najlepiej owym łacińskim napisem, znajdującym się w prologu trzeciej części „Dziadów,” który brzmiałby po polsku:

D. O. M.

Gustaw umarł 1823 r. 1 Listopada.

(Z drugiej strony).

Tu urodził się Konrad 1823 r. 1 Listopada.

Ważny ten dla zrozumienia „Dziadów” napis tłómaczy nam oraz, jak z zakochanego, marzącego a nawet chorobliwego Gustawa, wyrobił się pod wpływem zaszłych wypadków—ów Konrad, którego

Miłość nie na jednym spoczęła człowieku,
Jak owad na róży kwiecie;
Nie na jednéj rodzinie, nie na jednym wieku...

Jakoż w rzeczy saméj samotne to u Bazylianów mieszkanie wydało bardzo ważne dla samego poety skutki, bo charakter jego skrytalizował się w tój szkole cierpienia, duch dojrzał całkowicie, zmęźniał i jeszcze bardziej wyszlachetniał. Zapewne zaś i sam zapatrywał się w ten sposób na ów okres swojego życia, skoro w tymże „Prologu” następujące słowa włożył w usta „Anioła:“

Samotność mędroców mistrzyni;
I ty, w samotném więzieniu,
Jako prorok na pustyni,
Dumaj o twém przeznaczeniu!...

W istocie téż, według świadectwa Domejki, który także mieszkał wówczas w klasztorze Bazylianów, okazywał poeta w owych miesiącach wielką rezygnacją, spokój i stałą swobodę ducha, jakiej rzadko dostrzedz było można w dawniejszém jego usposobieniu. Prócz tego w jednym z listów pisanych w kilka lat potém (1827 r.) do Czeczota, mówi Mickiewicz sam o sobie, że „zaczął być wesół u Bazylianów,” a w r. 1838 wyznaje w liście do żony, że tam „wyleczył się z początków melancholii” (Listy T. I. str. 191). Do tój zaś swobody ducha przyczyniał się także wesóły nastrój ówczesnych spółtowarzyszów, który był najlepszym dowodem czystości ich zamiarów. Jeden z nich t. j. Ignacy Domejko skreślił po wielu latach tak zajmujący opis owych dni u Bazylianów przepędzonych, że uważamy za rzecz potrzebną przytoczyć tu kilka z tamtąd rysów.

„Północ, są słowa jego, była dla nas wschodem słońca; zbieraliśmy się w celi Adama i aż do świtu przepędziliśmy nocę na rozmowie cichej, ale nie smutnej. Frejend przyrządał herbatę i nas rozmieszał. Kto dniem pierwój był zawołany, przynosił nowiny jakie zbierał w sali i na ulicy. Książd Lwowicz na drugi dzień (po przybyciu do Bazyliańów), spadł przechodząc nocą korytarzem ze schodów i był przez miesiąc niebezpiecznie chory; dlatego później od innych począł należeć do naszych nocnych schadzek, i pamiętam, kiedy pierwszy raz o północy wszedł do nas, jak nas zabawił i rozczulił, mówiąc z wyciągniętymi rękami poważnie:

„Kozy, uciészne kozy, ma trzodo jedyna.”

(Wiersz wyjęty ze znanój sielanki Szymonowicza).

„W téj celi na nowy rok (1824) czytał nam Adam swój piękny wiersz: „Skonał rok stary,” a z jutrzni, w noc Bożego Narodzenia, dochodziła nas przy wtórowaniu dalekiego organu przytłumiona pieśń: „Przybieżeli pastuszkowie,” która przenosiła nas w progi domowe.”

Do takich zaś zebrań najlepiej nadawała się celi Mickiewicza (czyli Konrada), jak to okazuje się i ze słów Frejenda w „Dziadach:“

Wiecie oo, pójdźmy lepiej do celi Konrada.
Najdalsza jest, przytyka do muru kościoła;
Nie słyhać ztamtąd, choć kto śpiewa albo woła.
Myślę dziś głośno gadać i chcę śpiewać wiele;
W mieście pomyślą, że to śpiewają w kościele:
Jutro jest Narodzenie Boże!...

Tenże sam Frejend posiadał oraz tajemnicę pobudzenia Mickiewicza do improwizacji i do niego to właśnie odnoszą się owe słowa w „Dziadach:“

...Ty masz flet, Frejendzie,

Graj dawną jego nutę; a my cicho stójmy.

Taką zaś ulubioną dla naszego poety nutą była, jak wiadomo pieśń o „Laurze i Filonie“ oraz menuet z Don-Żuana. Pod jego wpływem improwizował zwykle nucąc zwolna, stosując do rytmu muzycznego. Raz jednak, jakby na próbę daru improwizowanego, zaczął Frejend grać bardzo szybko, tak że Mickiewicz, nie mogąc dotrzymać mu taktu, zamknął improwizację jednogłoskowym wyrazem „dość.“ Kiedy indziej znowu miał z takiegoż samego powodu zakończyć taką humorystyczną zwrotką:

Czyż mnie koledzy, o nieba!
Chcecie wystrychnąć na głupca?
Przy takiej nucie potrzeba
Językiem trzepać chołupca!...

Tymczasem pobyt u Bazyliańów przeciągał się coraz dłużej, a ostatecznego jego kresu nawet niepodobna było przewidzieć. Wszakże dla poety naszego nie był to czas stracony, bo jakkolwiek oprócz wspomnianego wiersza p. t. „Nowy rok” podobno wtedy nic więcej

nie napisał, ale czytał i rozmyślał natomiast długimi godzinami. Dzieła niemieckiego pisarza Jana Pawła Richtera, nacechowane pewnym mistycyzmem, dostarczały mu wówczas do tego sposobności, a między innymi podały i myśl do napisania wymienionego wyżej utworu. Prześliczny ten poemacik maluje wybornie ówczesny stan duszy Mickiewicza i już z tego samego powodu zasługuje na szczególną uwagę w opisie jego życia. „Przyjaźń i miłość” to były, jak wiadomo, dwa wielce ważne czynniki w rozwoju talentu i charakteru poety, a on sam czuł to niewątpliwie najlepiej, jak wielki wpływ wywarły one w dotychczasowym jego życiu. Jakże więc naturalną było rzeczą, że z końcem roku 1823, który tak stanowczo wpłynął na dalsze jego losy, poeta robi niejako rachunek ze samym sobą, przypominając sobie doznane dotąd rozkosze i zawody. Skutek zaś tego obrachunku jest taki, że na pytanie, „czego ma żądać w nowym roku,” sam sobie taką daje odpowiedź:

Chorowałem, marzyłem, latałem i spadam;
 Marzyłem boską różę, bliski jój zerwania
 Zbudziłem się: sen zniknął, róży nie posiadam,
 Kolce w piersiach zostały... nie żądam kochania!
 Może przyjaźni?... Któżby nie pragnął przyjaźni!
 Z bogiń, które na ziemi młodość umie tworzyć;
 Wszakże tę najpiękniejszą córkę wyobraźni,
 Najpierwszą zwykła rodzic i ostatnią morzyć.
 O! przyjaciele, jakże jesteście szczęśliwi!
 Jako w palmie Armidy wszyscy żyjąc społem,
 Jedna zaklęta dusza całe drzewo żywi,
 Choć każdy listek zda się oddzielnym żywiołem...
 Ale kiedy po drzewie grad burzliwy chłośnie,
 Lub je żądło owadów jadowitych drażni:
 Jakże każda gałązka dręczy się nieznośnie
 Za siebie i za drugie... Nie żądam przyjaźni!..

I w rzeczy samej słuszność miał poeta, gdy mówił o tym cierpieniu i dręczeniu się „za siebie i za drugich,” a mówić mógł tém bardziej, że jasnowidzącym duchem smutny los dla siebie i swych przyjaciół przewidywał. Może też nieraz wyrzucał sobie wtedy, że pieśniami swymi podsycał ów płomień, który ostatecznie, chociaż nie bezpośrednio, jego samego i tylu innych... ze zwyczajnej wytrącić miał kolei... Ztąd też kończy się wiersz ów w sposób następujący:

I czegoż więc w tym nowym roku będę żądał?
 Samotnego ustronia, dębowej pościeli,
 Zkądbym już ani blasku słońca nie oglądał,
 Ni śmiechu nieprzyjaciół, ni łez przyjacieli.
 Tam do końca, a nawet i po końcu świata,
 Chciałbym we śnie, z którego nic mię nie obudzi,

Marzyć, jakem przemarzył moje młode lata;
Kochać świat, sprzyjać światu, zdaleka od ludzi!...

III.

Uplłynęło już wiele miesięcy owego u Bazylianów pobytu, gdy razu pewnego Mickiewicz w pół marząc, w pół drzemiąc, usłyszał jakby głos wewnątrz siebie, zapowiadający mu najwyraźniej nową w scenach jego życia przemianę. W istocie téż nastąpiła ona, bo, oto z końcem kwietnia 1824 r. opuścić mógł poeta wraz z kilkunastu innymi kolegami mury wspomnianego klasztoru, w którym już tylko Zan, Surin i Czczot pozostać jeszcze musieli, wzięwszy na siebie całkowitą za filarecki związek odpowiedzialność. Łatwo tedy pojmiemy, z jaką radością uściskał Odyniec Mickiewicza, gdy w bramie rządowego gmachu przy ulicy Świętojańskiej spotkał go już na wolnej stopie, wychodzącego z komisji swobodnie na ulicę. Obaj prawdziwie filareckim duchem przejęci przyjaciele, nie zastanawiali się długo nad tém, gdzie mają najpierw skierować swoje kroki i dla tego poszli wprost do najbliższego kościoła (św. Jana).

Widocznie tedy religijne uczucie, zaszczipione jeszcze w bogobojnym domu rodziców, nie wygasło w nim pod wpływem bolesnych ciosów. Nie bez głębszego téż zapewne znaczenia napisał później poeta ową przesłiczną scenę w prologu do III części „Dziadów,” gdzie młodzieńcowi drzemiącemu, zjawia się Anioł-Stróż i mówi następujące słowa:

Niedobre, nie czule dziecię!
Ziemskie matki twój zasługi,
Prośby jęj na tamym świecie
Strzegły długo wiek twój młody
Od pokusy i przygody...

.
Nieraz ja na prośbę matki
I za pozwoleniem Bożem,
Zstępowałem do twój chatki,
Cichy, w cichęj nocy cieniu:
Zstępowałem na promieniu
I stawałem nad twém łóżem...

Z kościoła zaprowadził Odyniec swego przyjaciela do pani Macewiczowej, gdzie go nietylko czekał obiad, lecz i nader miłe spotkanie się z panią Kowalską, przybyłą tu z Kowna, dla odwiedzenia siostry, którą była wymieniona gospodyni domu. Powitany przez wszystkie z rozrzewnieniem, uczuł się wnet poeta w wesoleń, a nawet żartobliwem usposobieniu. Wkrótce obmyślono mu pomieszkanie, sprzęty i pościel, co wszystko przy pomocy przyjaciela i zacnej pani Macewiczowej dało się jaknajlepiej skutecznie. Mickiewicz spro-

wadził się najpierw do Odyniec w domu Ważyńskich za Ratuszowym placem, ponieważ pomieszkanie, które mu pani Macewiczowa przeznaczyła w swym domu, było wówczas zajęte przez kogo innego. Gdy wszakże Odyniec wyjechał po pewnym czasie na wieś, aby chorego pielęgnować ojca, wtedy sprowadził się Mickiewicz do domu pani Macewiczowej, gdzie jako spółtowarzysza zaprosił do siebie Józefa Jezowskiego.

W ten sposób upłynęło znowu kilka miesięcy, pełnych niepokoju o los Zana, Czeczota i Surina, mieszkających jeszcze zawsze w celach klasztornych, zarówno jak i o losy owych Filaretów, którzy równocześnie z Mickiewiczem uzyskali wolność wyprowadzenia się do pomieszkań prywatnych.

Nikt jeszcze wtedy nie mógł wiedzieć, jaki obrót wzięć miała ostatecznie cała ta sprawa, gdy Mickiewicz przepowiadać już zaczął, czekającą ich podróż w odległe strony... Poeta zaś opierał swoje przecucia na jakimś wewnętrznym głosie, który miał usłyszeć jeszcze za pobytu u Bazylianów; dla tego nie dziwny się temu, że mu wówczas nie chciano wierzyć a nawet „ptakiem złej wróżby“ nazywano z tego powodu. Ale niestety zbyt szybko spełniły się te przepowiednie, bo już po jakimś czasie rozeszła się po Wilnie wiadomość, że Zan, Czeczot i Suzin mają jechać do Orenburga... Mimo to wszakże, zostawali jeszcze ciągle wszyscy trzej u Bazylianów, gdzie za otrzymaniem poprzednio pozwoleniem, można ich było odwiedzać. Korzystali też z tego koledzy, a nieraz zgromadzali się tam nawet w znaczniejszej liczbie, a w ten sposób upływały im słodziej owe ostatnie tygodnie, po których nastąpić miało długo trwające rozłączenie...

W owęto szczególniej epoce, rozwijać się zaczął improwizatorski talent Mickiewicza, bo jakkolwiek już i przedtém doświadczał on niekiedy sił swoich w tym kierunku, to jednak improwizacye dawniejsze miały charakter raczej okolicznościowy i nie wznosiły się ponad sferę zwyczajnych żartów koleżeńskich. Pierwsza dopiero wyższego znaczenia improwizacya odbyła się u Bazylianów w celi Tomasza Zana, gdzie pewnego wieczoru zebrali się kilkunastu kolegów. Ale tego nie odważymy się opisywać własnymi słowy; niechaj raczej wolno nam będzie powtórzyć tu opis naocznego jój świadka. Oto bowiem, co pisze Odyniec w swoich pięknych „Wspomnieniach“:

„Było nas kilkunastu wieczorem w celi Tomasza Zana, gdzie też przyszli Suzin i Czeczot. Ten ostatni zanucił przy gitarze świeżo ułożoną przez siebie pożegnalną piosenkę w ludowym dyalekcie rusińskim, która tak wszystkich wzruszyła do głębi, że płacz ogólny stał się wtórem pieśni, a śpiewak przedmiotem uścisków. Mickiewicz nagle zawołał na Frejenda, aby zagrał nutę „Filoną“, którą zawsze lubił najbardziej; stanął w środku i zaczął improwizować balladę. Treść i forma pełne były prostoty. Poeta opowiadał z początku, a raczej nucił spokojnie; ale twarz jego przeobraziła się nagle, głos nabrał dziwniej rozciągłości i mocy przy śpiewie strof ostatnich; a to przemienie-

nie twarzy i głosu tak dziwnie i tak głęboko podziałało na wszystkich, iż może przez pięć minut trwało ogólne milczenie, aż nakoniec wrazenie podziwu wybuchło, nie oklaskami, ale rozrzewnieniem ogólném.“

Około tego samego czasu i to podobno także u Bazyliańców ¹⁾, wypowiedział poeta piękny wiersz do Aleksandra Chodźki, który byłby może, zarówno jak wspomniana ballada, uległ zapomnieniu, gdyby nie Odyniec, który go zdołał zapamiętać. Zawierał się tam obraz, dobrze oddający nastrój owych wieczorów, a zarazem pełen przeczucia, które w części przynajmniej spełniło się po wielu latach:

Orzeł z labędziem raz już ostatni

Może, swe pienia wywołdzi;

Jeszcze go orszak otacza bratni:

Lecz straszna chwila nadchodzi...

Precz żal niemężki, precz żal niewieści!

Zmienność ja nucę żalosią;

Bracia! słuchajcie dzikięj powieści!

Zdarzenia same urosną.

Raz poszły w zakład powietrzne ptaki:

Który z nich w lotnym przegonie,

Gdy się spróbują, obaczą jaki

Ma usiąść na ptaszym tronie?

Orzeł wyleciał: któż go doścignie,

Kto żagle, takie ma pierza,

Kto kiedy orla w wiatrach wyścignie,

Gdzie orzeł znajdzie szermierza?

Lecz był kolibryk, on się rozczulił,

On królem ptaków chciał zostać;

On się pod orla skrzydło utulił,

Bo orla w locie nie dostać.

Orzeł wyleciał, lecz się zmordował,

I spadł ku ziemi—i zginął;

Kolibryk w jego skrzydło się schował,

Zkąd się ku niebu wywinął.

Orzeł upada, ty latać będziesz:

Adam gdy ginie, ty żyjesz;

Na jego tronie ty kiedyś siedziesz,

Jego się blaskiem okryjesz...

Do porównania siebie z orłem, wziął zapewne Mickiewicz podobkę z wiersza, który na jego cześć Chodźko już wprzód wypowiedział, jak to wnosić wypada już z pierwszych słów téjże improwizacji:

Olesiu! czemuż tobie zapłace;

Za twoje rymy odwdzięczę?

¹⁾ Rok 1825 podany mylnie w wydaniach dzieł Mickiewicza, gdyż w tym roku nie był uawet poeta w Wilnie.

Do takiego zaś przypuszczenia jeszcze bardziej uprawniać może druga zwrotka:

Ty jako sokół nad piękną błonią
Ujrzałeś orła w polocie...

Nie było to więc zarozumieniem z jego strony, lecz raczej naturalnym owęj chwili wynikiem, że rozwijając dalej użyte przez Chodźkę porównanie, mówił o orle w przeciwstawieniu do kolibryka. Wiadomo zaś, że Mickiewicz nie lubił, ażeby jego improwizacye spisywano, zabraniał nawet tego niekiedy dość wyraźnie, podając za powód, że mu to osłabia natchnienie, a prócz tego i nie życząc sobie, ażeby to, co nieraz wypowiadał w wesołym, żartobliwym usposobieniu, wychodziło poza obręb kółka przyjacielskiego, lub nawet miało być drukiem ogłoszone. Z tegoż samego powodu wymawiał później Odyńcowi spisanie i ogłoszenie owęj improwizacyi „Do Olesia.“ My zaś, winniśmy prawdziwą wdzięczność szanownemu wydawcy za ocalenie tego pięknego wiersza, w którym owa dziwna, już wówczas zawierająca się przepowiednia, że Aleksander Chodźko zasiąść miał kiedyś na miejscu przez Mickiewicza zajmowaném. Jakoż stało się to przynajmniej pod tym względem, że na katedrze w kolegium francuzkiem zasiada, jak wiadomo, Aleksander Chodźko od roku 1857 aż do dnia dzisiejszego.

IV.

Od owęj pierwszej wyższego znaczenia improwizacyi, o której powyżej była wzmianka, już coraz częściej zaczynał poeta sił swoich doświadczać w tym kierunku. Oto np. razu pewnego w dzień imienia Stanisława Golickiego, adwokata-rejenta wileńskiego, zgromadziło się w jego mieszkaniu wielu przyjaciół, między którymi znajdował się i Mickiewicz. Wkrótce rozpoczęły się wesołe toasty na cześć solenizanta, a jednym z najweselszych był wiersz ułożony naprędce przez Odyńca, który się kończył następującą zwrotką:

„Dziś mnie, a jutro,“ lecz dziś jeszcze nasze,
A dzisiaj właśnie dzień twojego święta,
Więc przyjaciele! brzęk czasza o czaszę!
Zdrowie rejenta!

Zaledwie skończył Odyniec, gdy pobudzony jego toastem, powstał Mickiewicz i — według opisu naocznego świadka — zaczął mówić wierszem w „tonie jowialno-dowcipnym o powołaniu prawników, porównując je w żartobliwy sposób z powołaniem lekarzy i poetów, i charakteryzując pobieżnie wszystkich sławniejszych adwokatów i doktorów wileńskich, a nakoniec kolegów, braci w Apolinie. Dostało się przytém każdemu po sporém ziarnku pieprzu, które poeta wszakże tak umiał ostodzić, że nikomu z obecnych nie sprawiło goryczy, a zaś

improwizatorski jego talent w oczach wszystkich wysoko podniosło.“ „On sam — mówi dalej Odyniec — widać poczuł go w sobie, gdyż chętnie i coraz częściej sam z siebie, bez próśb i nacisku, dalsze odtąd próby ponawiał, nie mówiąc, ale nucąc prawie zawsze na nutę „Filona.“ Najogólniejszą cechą własnego jego przytém usposobienia było, że zaczynał zwykle powoli, zimno i jakby wahajaco; ale się stopniowo ożywiał, i jeśli przedmiot był potemu, to się zapalał i unosił; a wtedy głos i twarz jego przybierały taki szczególny ton, wyraz i charakter, że już więcej może niż same słowa na wrażenie słuchaczów, w magnetyczny sposób działały.“

Innym razem, a było to znowu w klasztorze Bazyljanów, improvizował poeta na cześć owych zacnych przyjaciół, którzy niestety już wkrótce wyjechać mieli z Wilna. Kilka zwrotek, wypowiedzianych przy owęj sposobności na cześć Suzina, zdołano na szczęście zapamiętać, a jako rys potrzebny do naszego obrazu, przytaczamy je na tém miejscu:

Jeszcze ma muza tego wspomina,
Co dotąd był zapomniany:
Wszyscy, o! bracia, piejmy Suzina,
Niech żyje Suzin kochany!

U kogo zawsze i myśl ta sama,
I czyj się umysł nie zgina,
Mamy tu bracia portret Adama ¹⁾,
Mamy tu portret Suzina.

On się poświęcił i na okowy
I wieloletnie zamknięcie:
Wszystko był Suzin znosić gotowy,
By prawa zachować święcie.

Było odważnych w powszechnej grozie,
I śmiazków więcej jak tuzin,
Lecz cierpieć śmiało, lecz milczeć w kozie,
Potrafił Czeczot, Zan, Suzin!...

Tymczasem los Zana, Czeczota i Suzina został już stanowczo rozstrzygnięty, a niedługo potém wszyscy trzej pojechali w owe dale-

¹⁾ Adam Suzin, powróciwszy na Litwę, ożenił się tam z siostrą A. E. Odynca, później zamieszkał w Warszawie, gdzie też umarł w 1880 roku. Poważany był wysoko przez wszystkich, którzy mieli sposobność poznać i ocenić jego piękny charakter, zostawił i literaturze pamiątkę, a zwłaszcza nader cenne „Wspomnienia“, z których część p. t. „Wycieczka w stepy kirgiskie“, drukowaną była w „Kronice Rodzinnej“ z roku 1871. To samo pismo podało w r. 1880 (na str. 64) krótki i zacnego Suzina nekrolog.

kie strony, żąd dopiero po wielu latach powrócić mieli do rodzinnej zagrody. Równocześnie zapadło z dniem 14 sierpnia 1824 roku, postanowienie także o losie Mickiewicza, Franciszka Malewskiego, Józefa Jeżowskiego, Teodora Łozińskiego, Jana Sobolewskiego, i kilku innych, którzy wszyscy oddani byli do rozporządzenia ówczesnego ministra oświecenia, „aby ich użył po części szkolnej w oddalonych od Polski guberniach.“ Nim to wszakże miało ostatecznie nastąpić, zostawiono poecie, zarówno jak i jego towarzyszym, kilka tygodni czasu dla przysposobienia się do czekającej ich podróży. Korzystając z tego, przepędzali też długie w kółkach przyjacielskich wieczory, a zwłaszcza Mickiewicz bywał wówczas najczęściej w domu państwa Malewskich, gdzie słuchał pięknego śpiewu panny Zofii, lub też u pani Macewiczowej, gdzie znowu zachwycał się piękną grą młodziutkiiej wtedy panienki, którą bardzo lubił i szczerze już wtedy poswatać pragnął swemu ukochanemu przyjacielowi Odyńcowi. Nie przeczuwał też może poeta, że ta sama panienka dostarczyć mu miała później rysów do słicznego wizerunku, znanj z „Tadeusza“, młodziutkiiej heroiny, której nawet imię „Zosi“ nadał na pamiątkę owj wówczas nazywanj „Berzerki“, a po niewielu latach już — pani Odyńcowej.

Było to wieczorem 20 października 1824 r., gdy właśnie w owym domu wesoło zabawiał się poeta... Berzerka grała na fortepianie; on słuchał z zachwyceniem, a gdy ucichła muzyka, zasiadł do kart ze staruszką panią Kowalską, z którą szczególnie lubił grywać w tak zwanego „kiksa.“ Godziny upływały szybko... i poeta ani się spostrzegł, że było już około północy, gdy wraz z Odyńcem powracał do swego mieszkania. Ujrawszy naraz światło we wszystkich jego oknach, domyślali się że Jeżowski, mieszkający w jednym z owych dwóch pokojów, ma zapewne gości u siebie. Jakoż tak było w rzeczy samej, tylko że gościem był tym razem kapitan Krukowski, który czekał właśnie na Mickiewicza; miał mu bowiem, zarówno, jak to zrobił Jeżowskiemu, udzielić do podpisu rozporządzenie, wskutek którego już za dwa dni mieli być obaj gotowi do wyjazdu do Petersburga. Mickiewicz — jak powiada Odyniec — przyjął tę wiadomość spokojnie, podpisał arkusz przedłożony, poczem kapitan wyszedł, a trzej przyjaciele pozostali już tylko sami. Łatwo pojąć, że mimo spóźnionj pory nie mieli ochoty do spania, zachowali wszakże spokój, rozmawiając o różnych sprawach, które trzeba było przed wyjazdem załatwić. Dopiero, gdy już dzień zaczynało, zasnęli cokolwiek, nie rozbierając się nawet ze zwyczajnej odzieży.

Nareszcie nadszedł dzień ostatni, który mogli jeszcze w Wilnie przepędzić. Każdy żegnał się ze swymi znajomymi lub krewnymi, i załatwiał pilniejsze sprawy, skutkiem czego ruch ożywiony panował w całym mieście. Zadni przyjaciele, jak Maryan Piasecki i Odyniec pamiętali wówczas o niepraktycznym Mickiewiczuz i pomagali mu w przysposabianiu się do podróży. Odyniec był nawet z nim na kilku pożegnalnych wizytach, jak np. między innymi u pani Becu,

matki Juliusza Słowackiego i u pani wojskiej Zaleskiej, gdzie wszędzie żegnano się z Adamem z głębokim rozrzewaniem. Tego samego dnia zebrali się wieczorem jeszcze raz wszyscy, będący w mieście Filareci w pomieszkaniu Tomasza Massalskiego, na poddaszu niedaleko od Ostrój Bramy. Niektórzy zaś, jak np. Ignacy Domejko, nawet z dalszych stron pospieszyli na ten dzień do Wilna, aby pożegnać odjeżdżających kolegów.

Trudne do opisania uczucia przejmowały wówczas te serca młodociane!... A przecież nawet w owej chwili nie byli oni smutni, bo według słów „Ody do młodości:”

Serca niebiańskie poi wesle,
Kiedy je razem nic powiąże złota...

Ażeby się wzajemnie nie zasmucać, bawiono się wesoło, śpiewano wszystkie pieśni filareckie, a niektórzy, jak np. Feliks Kułakowski, opowiadali humorystyczne anegdoty. Już niedaleko było do świtu, gdy naraz wszyscy obścili Mickiewicza prosząc, aby co zaimprovizował. Poeta wzbraniał się z początku, ale gdy Frejend zagrał ulubioną mu nutę, wnet uczuł się natchnionym i powolnym, do muzyki zastosowanym rytmem zaczął nucić balladę, której pierwotna nazwa „Basza” zamienioną później została na „Renegat.” Improwizacja ta byłaby może jak wiele innych zaginęła, gdyby nie stojący za plecami Mickiewicza Stanisław Górski, który ją w części zdołał zanotować, w części zaś inni uzupełnili z pamięci.

Dzwoniono właśnie na mszę w Ostrój Bramie, a pobożny lud litewski klęczał już przed cudownym obrazem, gdy młodzi towarzysze zaczęli się rozchodzić pocichu do mieszkań swoich. Jak niegdyś za pierwszym do Wilna przybyciem, tak i teraz żegnając się z nim, może na zawsze, chciał się poeta polecić opiece Tój, którego „dzieckiem do zdrowia powróciła cudem.” W tym celu wraz z Odyńcem poszedł do Ostrój Bramy, gdzie na cichéj modlitwie z czołem opartém na dłoni, przeklęczał całe nabożeństwo. Potém nie mówiąc wiele do swego towarzysza, powrócił do domu spokojny i zadumany.

Oznaczoną już była godzina wyjazdu, gdy niedługo przedtém przyszedł jeszcze do Mickiewicza Ignacy Chodźko, znany autor „Obrazów litewskich.” Był on wówczas młodym 28 letnim (ur. 1795) mężczyzną i od niedawna narzeczonym panny Ludwiki Mackiewiczównéj, nieznanéj osobiście Mickiewiczowi.

— Adamie — rzekł — ty wyjeżdżasz! wiesz, że mam się żenić; zostaw najdroższą twéj przyjaźni pamiątkę, kilka wierszy do méj narzeczónéj.

Z uśmiechem miłym, (opowiada sam Ignacy Chodźko) ¹⁾ a właściwym twarzy jego, w którym piękność a dobroć jego serca i głębsze

¹⁾ „Tekę wileńską.” Rok 1858 w artykule: „Peryody życia.” Do-kończenie auto-biografii autora „Obrazów litewskich,” str. 216.

może natenczas współczucie dla zakochanego się odbijały, usiadł przy stoliku, wziął pióro w rękę i jeszcze raz ten uroczy uśmiech rzucając na narzeczonego:

— Bardzo ją kochasz? — zapytał.

— Ha! — odpowiedział Chodźko — tak, jak ty Maryą.

Wzrok Adama zesmętniał. Wspierając czoło na rękę, rzekł z cichém westchnieniem:

— Tak, tak i tyś poeta!

Po krótkiej chwili oddał oczekującemu kartkę, zawierającą te słowa:

Nieznajomój, nieznanój, nieznany daleki,
Kiedy nas jeszcze dalej losy chcą rozegnać;
Posyłam, by cię razem poznać i pożegnać,
Dwa wyrazy: Witam cię — bądź zdrowa na wieki!
Tak podróźny zbłąkany w alpejskim parowie,
Piosnką chce nudnej drodze przyczynić wesela:
A kiedy nie ma komu śpiewać serce wdowie,
Śpiewa piosnkę kochance swego przyjaciela;
Lecz nim piosnkę przepędzą echa ku jój stronie,
Może już podróźnego wieczny śnieg pochłonie!

„Dla Ludwiki przyszłej Ch.... pisałem w godzinę przed oddaniem się z Litwy r. 1824 8-bra 22 d.” (22-go Octobra) ¹⁾.

Niebawem wybiła oznaczona godzina i nadeszła owa chwila, którą opisał Odyniec w pięknym wierszu do Antoniego Góreckiego:

. Pomnę ja dzień owy,
Gdy go od swoich brano na rozstanie,
Czekały straże, wóz już stał gotowy;
On ze mną poszedł na twe pożeganie,
Wtedy żal pierwszy dumne serce przemógł:
Widział ły nasze — i swych ukryć nie mógł.

Odnosi się to zwłaszcza do owój rozrzewniającej sceny na pożegnaniu u Antoniego Góreckiego, który przywoławszy swe dzieci, kazał im przed Mickiewiczem ukłknąć i poprosić o błogosławieństwo. Wówczas po bladėj i od wzruszenia drgającėj twarzy Adama potoczyły się grube łzy, choć zapewne ani mógł przeczuwać, że po wielu latach,

¹⁾ Opowiadanie Odyńca o powstaniu tego wiersza, nie jest, zdaniem mojem, z opisem samego Ignacego Chodźki tak niezgodne, jakby się napozór mogło wydawać. Wiersz bowiem mógł być w istocie wcześniej ułożony, choć dopiero „w godzinę przed odjazdem” był może na czysto przepisany. Zwracamy oraz uwagę, że data wyżej podana, liczy się według kalendarza stylu starego.

jego własna córka miała stać się żoną Tadeusza Góreckiego ¹⁾ i tym sposobem tak blisko spokrewnić się z ową dzieci gromadką. Ale łzy wylane w owej chwili nie miały być ostatnie... Grono przyjaciół, między którymi znajdowały się i kobiety, otoczyło poetę na wsiadaniu do wozu, który miał go wiczyć razem z Janem Sobolewskim. Wszyscy żegnali go ze łzami; ale podobno najrzewniej płakał Odyniec. Mickiewicz uściskał go też najczuliej, a potem jeszcze z wózka, ujawszy jego i Berzerki (Zofii Macewiczówny) dłonie, odezwał się miękkiem, ale pełnym dobrej otuchy głosem: „No, no! dość tego, nie płacz! Obaczmy się jeszcze; tu, czy tam, ale obaczmy się pewnie!” Tymczasem dał się słyszeć dzwonek pocztowy, a konie zacięte biczem szybko z miejsca ruszyły. Odyniec, Domejko, Julian Korsak, Aleksander Chodźko i Frejend pobiegli szybko za odjeżdżającymi, aby ich raz jeszcze przed tak zwaną „Pohulanką” zdjęciem czapek i powiewem chustek pożegnać...

V.

Chwila wyjazdu z Wilna utkwiała głęboko w duszy Adama, a w kilkanaście miesięcy potem stanęła mu ona znów przed oczyma duszy, kiedy wyjazd swój porównywał z obecnym:

Pamiętam, kiedy młody, z lubej okolicy,
 Od przyjaciół kochanych, od mojej dziewicy,
 Jechałem i patrzyłem, i pomiędzy drzewy
 Słyszałem głosy, chustek widziałem powiewy:
 Płakałem...

Ale czy płakała równocześnie ta, którą on pierwszą ukochał miłością, czy między chustkami, które wówczas powiewały, była i ta, którą ona swojemi zwilżyła łzami? Nie umiemy napewno powiedzieć; ale z tego, co we „Wspomnieniach” swoich mówi Odyniec, wypada ra-

¹⁾ Tadeusz Górecki, syn znanego poety, urodzony 5 maja 1825 roku, odbywszy nauki w szkole sztuk pięknych w Petersburgu, wyszedł zczasem na znanego z talentu malarza. Po dłuższym pobycie we Włoszech, zamieszkał ostatecznie w Paryżu, gdzie też ożenił się z Maryą Mickiewiczówną, najstarszą córką poety. Przy owej to sposobności napisał Antoni Górecki następujący wierszyk:

O Maryo! twoim wdziękom żadne nie są równe,
 Lecz mdleje kwiat nadziei, śpiesz się go ożywić;
 Wyrzeknij co najprędzej to słówko czarowne,
 Które może wiernego sługę uszczęśliwić!...

Zacny Tadeusz, o którym już za lat jego chłopięcych mówiono, że „serce miał na dłoni,” umarł zbyt wcześnie, bo już w 1868 r., zatem zaledwie w siedm lat po śmierci swego ojca, obok którego pochowany został na cmentarzu w Montmorency pod Paryżem.

czój wnosić, że ostatni raz widział się z nią poeta jeszcze w pierwszych dniach lipca 1824 r. Do wytkómaczenia tego, co się właśnie w dzień wyjazdu poety mogło dziać w duszy Maryi, postużyć może owa prześliczna scena przy końcu III części „Dziadów,” kiedy guślarz mówi do kobiety czarno ubranój:

Cózto? cózto?... Patrz, z zachodu,
Tam od Giedymina grodu,
Śród gęstych kłębów zamieci,
Kilkadziesiąt wozów leci!
Wszystkie lecą ku północy,
Lecą ile w koniach mocy.
Widzisz, jeden tam na przedzie
W czarnym stroju...

KOBIĘTA.

On!

GUŚLARZ.

Tu jedzie.

KOBIĘTA.

I znowu nazad zawrócił,
I tylko raz okiem rzucił,
Ach! raz tylko... jakie oko!

GUŚLARZ.

Piers miał zbroczoną posoką,
Bo w téj piersi jest ran wiele:
Straszne cierpi on katusze,
Tysiąc mieczów miał on w ciele,
A wszystkie przeszły—aż w duszę.
Śmierć go chyba z ran uleczy.

KOBIĘTA.

Jedną ranę miał na czole,
Jedną tylko i nie wielką,
Zda się być czarną kropelką.

GUŚLARZ.

Ta największe sprawia bóle:
Jam ją widział, jam ją zbałał;
Tę ranę sam sobie zadał:
Śmierć jej uleczyć nie może.

KOBIĘTA.

Ach! ulecz go, wielki Boże!

<http://rcin.org.pl>

Było też niewątpliwie tak, jak sobie wyobrażał sam poeta. Marya modliła się i tęskniła za nim długo, żyjąc, jak mówi jej brat cioteczny Domejko, z mężem „jak z przyjacieleni, jakoby niezameżna.” Dopiero po dwóch latach, a może i później, nastąpiła zmiana. Delikatność i miłość, jaką ją pan Wawrzyniec stale otaczał, przestrogi matki, upominania braci, a wreszcie, i może nawet przeważnie, wpływ spowiednika, przyczyniły się do tego. Wkrótce dał jej Pan Bóg piękną, jak anioł, córkę, a w kilka lat potem syna. Odtąd pani Marya była wzorową matką i żoną i zajmowała się gorliwie domowem gospodarstwem. A chociaż nie okazywała wesołości, przeciwnie nawet, według świadectwa Domejki, pewną tęsknotę, zawsze jednak odznaczała się w pożyciu z ludźmi właściwą sobie słodyczą i uprzejmością. Nie śpiewała już potem owęj ruskiej piosenki:

Ne dau mnie Boh, kawo ja chaciela,

tylko jakby dla żartu może, dla rozweselenia żony, zanucił ją niekiedy pięknym swym głosem zacny i zawsze wesoły pan Wawrzyniec. Zapewne myśl jej wówczas biegła w ślad za oddalonym poetą, jak niewątpliwie i w owych chwilach, gdy córeczka jej przy jej towarzyszeniu na fortepianie śpiewała jego piosenki, lub deklamowała ballady. Po kilku jeszcze latach, gdy Domejko pisał do bawiącego wówczas w Rzymie Adama, dodała i Marya od siebie kilka wierszy. Nie znamy tego listu; ale w odpowiedzi nań odpisał poeta Domejce:

„Było tam kilka słów Maryi. Widok jej ręki tak mnie upoił, że płakałem jak dziecko. Pierwszy to był płacz od pożegnania się z Czczotem i Zancm. Nie będziemy już nigdy widziéć się ze sobą. Ale powiedz jej, że ona zawsze ma w sercu mojem miejsce, z którego nikt jej nigdy nie usunął i gdzie jej nikt nie zastąpi.” (Koresp., wyd. IV, t. II, str. 151).

Jakże silném, jak czystém było to pierwsze „promionkowe” uczucie, kiedy słowa powyższe pisał poeta w r. 1832, a więc już po poznaniu rodziny Ankwiczów i owęj poetycznej Ewuni, z którą się i my spotkamy w dalszym ciągu naszego opowiadania.

W ogóle cały ten prześliczny romans, który imię Maryli na wieki złączył z nazwiskiem wielkiego poety i niewątpliwie przyczynił się do tego, że z nieśmiertelnych jego pieśni „upłotą wieki ozdobę dla jego skroni,” jest co najmniej wielce zajmującym w życiu Mickiewicza ustępem, jeżeli nie jest zaiste trudną do wyjaśnienia psychologiczną zagadką. Kluczem do jej rozwiązania może byłyby własne słowa poety, napisane w dziesięć lat później w „Panu Tadeuszu.”

Są oświadczenia—nawet bez wyznania,

Są obowiązki—nawet bez obowiązania!

Dwa serca, pałające na dwóch krańcach ziemi,

Rozmawiają, jak gwiazdy, promicmi drżącemi...

Kto wie! może dla tego ziemia tak do słońca

Dąży, i tak jest zawsze miłą dla miesiąca,

Że wiecznie patrzą na się i najkrótszą drogą
Biegną do siebie, ale zbliżyć się nie mogą! ¹⁾.

* * *

Dwa takie wypadki, jak naprzód ta wielka, czysta i do tego nie-
szczęśliwa miłość, a potem cała ta znana sprawa, co tak „chmurnie”
zakończyła ową prawdziwie „górną” młodość, stanowią wielki w życiu
poety i w rozwoju jego talentu przełom. Pod wpływem pierwszego
z tych wypadków był poeta w życiu swém chorobliwym, aż do szaleń-
stwa rozkochanym młodzieńcem. Wówczas bowiem przechodził on tak-
ie same cierpienia, takie same łamania się i rozpacz, jak ów Gustaw
w IV części „Dziadów.” Odmalował je też właśnie z tego powodu
z taką mocą i prawdą, która tej części poematu nadaje wyższe, ogólno
ludzkie znaczenie, dla tego, że mniejwięcej w życiu każdego człowieka
może być okres, w którym gotówby on to samo, co Gustaw, mówić
i robić. Słusznie zresztą wypowiedział poeta słowa, które się zwła-
szcza do niego samego mogą odnosić:

Jedna tylko iskra jest w człowieku,
Raz tylko w młodocianym zapala się wieku.
Czasem tę iskrę oko niebianki zapali;
Wówczas trawi się w sobie, świeci sama w sobie,
Jako lampa w rzymskim grobie.

Ale z chwilą wstąpienia w mury Bazylikańskie, skończyło się owe
„trawienie się,” skończyła się czwarta część Dziadów, czyli, mó-
wiąc słowami samego Mickiewicza, nastąpiło „wyleczenie z początków
melancholii.” Teraz bowiem począł poeta „dumać o swém przeznacze-
niu,” skutkiem czego z chorobliwego Gustawa przeobraził się w sil-
nego uczuciem Konrada, t. j. owego bohatera „Trzeciej części Dzia-
dów,” który rwie się do czynu, ale w gorączce swój i niepohamowaném
w swe siły zaufaniu niezdolnym jest jeszcze do niego. To też dopięro
w ósmej scenie tej części „Dziadów” wskazuje mu ksiądz Piotr jego
przyszłość i czekające go w niej zadanie:

1) Marya Putkamerowa umarła na Litwie w r. 1864. Mąż jej zmarł
jeszcze w roku 1850. Marya była do końca życia z uwielbieniem dla niego,
a po śmierci ze łzami całowała jego nogi. Zaczny zaś jego charakter określił
Odyniec w wierszu, który czytać można na jego grobie:

Przechodniu, stój! bo stoisz nad męża mogiłą,
Co myślą stał na czasu swego wysokości;
Serce jego dla cnoty i dla prawdy było,
A życie jego pasmem ofiar było,
Służąc ludzkości w Bogu, a Bogu w ludzkości!

Ty pojedziesz w daleką, nieznajomą drogę,
Będiesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie:
Szukaj męża, co więcej, niżli oni, umie.
Poznasz, bo cię powita pierwszy w Imię Boże;
Słuchaj, co powie...

Poeta jechał teraz w rzeczy samej „w daleką, nieznajomą drogę;”
ale czy i kiedy spełnić się miała, chociażby tylko w jego przekonaniu,
reszta przepowiedni Księdza Piotra?..



The background of the image is a dark, intricate marbled paper pattern with swirling, organic shapes in shades of brown, black, and grey. A vertical strip of plain, light-colored paper is visible on the right side of the image.

F
8861

<http://rcin.org.pl>